

Rewolucja, której nie było

2 maja 2020

Prawo i Sprawiedliwość po fali krytyki wycofało się z przepisów najbardziej uderzających w polskich pracowników, jednak już we wcześniejszych częściach „Tarczy antykryzysowej” mocno zredukowało ich ochronę. Nie powinno to zasadniczo dziwić. Choć w naszej debacie publicznej zdominowanej przez lewicowych i prawicowych pojawiły się rytualne oskarżenia o „bolszewizm”, to obecna władza przez pięć ostatnich lat nie zakwestionowała w praktyce żadnych neoliberalnych dogmatów.

Na początku tygodnia dwa czołowe polskojęzyczne dzienniki ujawniły skalę zmian, które rząd Mateusza Morawieckiego chciałby przeprowadzić pod przykrywką pandemii koronawirusa. Były one przede wszystkim związane z redukcją praw pracowniczych. Ostatecznie się z nich wycofano, ale sam fakt, że władza chciała umożliwić wyrzucanie ludzi z pracy oraz redukowanie ich wynagrodzenia bez konieczności konsultacji, jasno pokazało prawdziwą twarz PiS-u. Osoby analizujące politykę gospodarczą rządu nie na podstawie deklaracji, lecz realnych działań, już dawno dostrzegły zresztą co naprawdę kryje się za „prospołeczną” fasadą.

Pod dyktatem liberałów

Tak naprawdę stanie się „socjalistą” w warunkach polskiej debaty publicznej nie jest szczególnie trudne. De facto każda aktywność państwa wykraczająca poza rolę wielbionego przez liberałów „nocnego stróża” jest już kwalifikowana właśnie jako socjalizm. Pisząc praktycznie każdy internetowy komentarz kwestionujący liberalne doktrynerstwo trzeba liczyć się z atakiem ze strony fanów Platformy Obywatelskiej z jednej oraz Konfederacji i Janusza Korwin-Mikkego z drugiej strony. Tak naprawdę polscy liberałowie nie potrzebują posiadać żadnej wiedzy, nie wspominając już o danych, bo i tak zakrzyczą

każdego niezawodnymi argumentami o „drugiej Wenezueli” czy też wysłał swojego oponenta do Korei Północnej.

Mogą w tym zakresie liczyć na wsparcie czołowych polskich mediów, które wbrew twierdzeniom fanów Konfederacji wcale nie są „lewackie”, a na pewno nie w swoim podejściu do ekonomii. Trudno zresztą oczekiwać, aby Wirtualna Polska, Interia, Money.pl „Gazeta Wyborcza” czy „Rzeczpospolita” były zainteresowane jakąkolwiek krytyką większego bądź mniejszego biznesu – wszak w ten sposób straciłyby dochody z reklam. Portale należące do tak zwanej ideowej prawicy są tak naprawdę w podobnej sytuacji. Strony wspierające szeroko pojętych korwinistów już by się tak dobrze nie klikały, gdyby ich czytelnicy nagle musieli czytać na ich łamach nie pasujące im poglądy. Wszak konserwatywni liberałowie są największymi zwolennikami wolności, ale podobnie jak lewicowi liberałowie jedynie dopóki ktoś głosi miłe dla ich ucha poglądy.

Na największą niedorzeczność zakrawa jednak fakt, że tak naprawdę nawet zaplecze medialne PiS-u nie kwapi się do wspierania oficjalnej polityki gospodarczej tej partii. Na łamach tygodnika „Do Rzeczy” prawie w każdym numerze można znaleźć krytykę „socjalizmu” ze strony prawicowych liberałów, natomiast nawet najbardziej usłużne „W Sieci” z rzadka wychodzi poza narrację pod tytułem „zabrali złodziejom i oddali dzieciom”. Szkoda nawet wspominać o „Tygodniku Solidarność”, bo największy związek zawodowy w Polsce zdaje się najczęściej zajmować (skądinąd oczywiście groźnymi) meandrami ruchu LGBT i dokonaniem „kulturowego marksizmu”.

Pensje wciąż śmieszne

W takim otoczeniu medialnym trudno się dziwić, że nawet skromna podwyżka płacy minimalnej spotyka się z trwającymi wiele tygodnie lamentami. Można było to zaobserwować przez ostatnie pięć lat, a zwłaszcza po ogłoszeniu przez rząd planów podwyższenia najmniejszego wynagrodzenia do 4 tysięcy złotych

brutto. Łkania nad „drugą Wenezuelą” było wówczas co niemiara, a eksperci na łamach wszystkich czołowych (łącznie z pro-rządowymi) mediów rwali sobie włosy z głowy. Działo się tak mimo rozłożenia podwyżki na cztery lata, nie wspominając już o trwającym od wielu lat wysokim jak na warunki europejskie wzroście gospodarczym.

Oczywiście na wielu Polakach kwota ta robi wrażenie, na tyle zresztą duże, że miała co do niej wątpliwości nawet spora część zwolenników partii rządzącej. Gdy jednak porówna się ją do minimalnych stawek w Unii Europejskiej, tak naprawdę nie robi ona żadnego wrażenia. Można to łatwo zauważyć przeliczając choćby obecną kwotę na euro. Według danych opublikowanych w lutym przez Komisję Europejską, najniższe możliwe wynagrodzenie w Polsce wynosi 611 euro brutto. To tylko o około 30 euro więcej niż w sąsiednich Czechach i na Słowacji. Według obecnego kursu podniesienie jej do poziomu 4 tysięcy złotych oznaczałoby kwotę około 875 euro, która i tak byłaby niższa niż w przypadku małej Słowenii, nie wspominając już o państwach zachodnich.

W związku z pandemią koronawirusa o tej podwyżce można już zapewne. Nie zmienia to jednak faktu, że mimo stałego wzrostu gospodarczego oraz powiększających się zysków przedsiębiorstw, wynagrodzenia w Polsce były wciąż niezwykle niskie. Przede wszystkim nie nadążały za wzrostem produktywności polskich pracowników, co różniło nas nawet od innych państw regionu nie należących przecież do gospodarczych potęg. W okresie pomiędzy 2008 a 2018 rokiem miała ona wzrosnąć o blisko 31,9 proc., czego nie można oczywiście powiedzieć o pensjach. Podwyższanie płacy minimalnej w warunkach rosnącej produktywności trudno więc uznać za jakąkolwiek rewolucję.

Nacisk imigrantów

Trudno dziwić się sytuacji polskich pracowników, których wynagrodzenia zależą w dużej mierze właśnie od aktualnego

poziomu płacy minimalnej. Tak naprawdę tylko jej wzrost wraz ze spadkiem bezrobocia może przełożyć się w jakikolwiek sposób na wysokość pensji w Polsce. I rzeczywiście poniekąd tak się stało, choć kilkuprocentowe podwyżki płac w skali rocznej nie robią wrażenia, gdy mamy na uwadze wspomniany już i utrzymujący się od lat wzrost gospodarczy, a także rosnącą stale produktywność polskich pracowników.

Przez pewien czas można było żywić nadzieję, że sytuacja materialna Polaków polepszy się dzięki tak uwielbianym przez polskich liberałów mechanizmom rynkowym. Chodzi oczywiście o spadek bezrobocia. Mniejsza liczba osób ubiegających się o miejsce pracy przekłada się lepszą kartę przetargową pracownika, który nie musi wówczas przejmować się charakterystyczną dla prawie całego okresu III Rzeczypospolitej retoryką pracodawców pod tytułem „mam dziesięciu na Twoje miejsce”.

Tak się jednak nie stało. Rzekomo „socjalistyczny” PiS, nie robiący niczego poza rzucaniem kłód pod nogi polskich przedsiębiorców, posłusznie spełnił bowiem prawie wszystkie postulaty polskiego biznesu oraz zachodnich korporacji funkcjonujących na terenie naszego kraju. Od 2015 roku mamy do czynienia ze stale rosnącą liczbą obcokrajowców przyjeżdżających do Polski, a ich liczba jeszcze przed wybuchem pandemii koronawirusa była szacowana przez niektórych na około 1,5 lub nawet 2 miliony osób. W takich warunkach nie może być mowy o „rynku pracownika”, który zaistniał co najwyżej w kilku branżach oraz w głowach biznesu nieprzyzwyczajonego do wyczerpywania się rezerwuaru siły roboczej.

0 prawach można zapomnieć

Oczywiście płace mogłyby rosnąć w inny niż rynkowy sposób, a mianowicie poprzez negocjacje z pracodawcą. Nie chodzi tu jednak o postulowaną przez polskich liberałów likwidację umów

o pracę, które miałyby zostać zastąpione dobrowolnym porozumieniem pomiędzy zainteresowanymi stronami. Takie podejście nie uwzględnia przecież podstawowej przewagi pracodawcy, mogącego stosować przymus ekonomiczny wobec swojego pracownika. Co prawda spadek bezrobocia w pewien sposób ograniczył wszechwładzę pracodawców, tym niemniej trudno oczekiwać, aby pracownicy mający na utrzymaniu rodzinę i spłacający kredyty narażali się na gniew ze strony swojego szefa.

W takim wypadku do gry mogłyby wkroczyć związki zawodowe lub inne formy reprezentacji pracowników. Upodmiotowienie zatrudnionych to jednak czarny sen polskich liberałów, nie wspominając już o ich palpitacjach serca na sam dźwięk słowa „uzwiązkowanie”. Pod tym względem znajdujemy się oczywiście na szarym końcu Unii Europejskiej, jednak nawet już szczątkowe organizacje pracowników (działające na dodatek głównie w sektorze publicznym) są ostro zwalczane przez polityków mających poparcie kapitału i wiodących mediów.

Co więcej, państwo pod rządami PiS-u nie tylko nie wzmocniło pozycji pracownika względem pracodawcy, lecz dodatkowo nie zrobiło niczego w kierunku przestrzegania już obowiązującego prawa pracy. Kary nakładane przez Państwową Inspekcję Pracy budzą uśmiech politowania na ustach dyrektorów większości przedsiębiorstw, nie wspominając już o jej wiecznym niedofinansowaniu, co przekłada się na jej problemy kadrowe. Między innymi z tego powodu w ciągu ostatnich pięciu lat praktycznie nie spadła liczba osób zatrudnionych na umowach śmieciowych, które są nadużywane właśnie z powodu braku kontroli mogących wymuszać na pracodawcach zatrudnianie na umowie o pracę w przypadku spełnienia ku temu odpowiednich przesłanek.

Usługi publiczne? Szkoda gadać

Skrajne niedofinansowanie organów pokroju PIP-u nie powinno

znacząco dziwić. Tak naprawdę rządzący nie przykładają specjalnej wagi do świadczenia usług publicznych gwarantowanych przez państwa będące wciąż miejscem emigracji wielu naszych rodaków. Oczywiście, miejsca pracy dla „znajomych królika” dalej znajdują się bez problemu, ale ponadto instytucje publiczne istnieją w coraz bardziej szczątkowy sposób. Niektórzy mówią wręcz o prywatyzacji usług publicznych pod rządami PiS-u.

Najbardziej jaskrawymi przykładami są tak służba zdrowia oraz edukacja. Katastrofalny stan opieki medycznej w Polsce jest oczywiście wynikiem lat zaniedbań ze strony kolejnych ekip rządzących, lecz przez pięć lat u władzy można jednak zrobić cokolwiek w kierunku choćby minimalnej poprawy sytuacji. PiS wbrew pozorom może pochwalić się niewielkimi sukcesami w tej kwestii. Należy do nich zwiększenie finansowania służby zdrowia, nie wspominając już o rosnącej liczbie osób kształcących się na studiach medycznych. Problem polega na tym, że w tym samym czasie rokrocznie rośnie liczba osób zmuszonych do korzystania z prywatnej opieki medycznej. W roku 2018 w porównaniu do roku 2017 dodatkowym ubezpieczeniem zdrowotnym było objętych o 23 proc. więcej osób.

Nie jest to tak naprawdę rezultat dużo lepszego zarządzania w prywatnych placówkach. Według przeprowadzonych niedawno badań krótszy czas oczekiwania na wizytę u lekarza jest dla 74 proc. Polaków powodem, dla którego korzystają z dodatkowego ubezpieczenia. Poziom niezadowolenia z prywatnych usług jest jednak już taki sam, jak w przypadku państwowych placówek. Polacy muszą też wydawać coraz więcej pieniędzy na edukację swoich pociech, ponieważ jakość zajęć szkolnych stale się obniża z powodu braków kadrowych oraz żenująco niskich wynagrodzeń dla nauczycieli. Biorąc pod uwagę kolejne dane okazuje się, że rodzice posyłający dzieci na dodatkowe zajęcia pokroju korepetycji wydają na ten cel średnio 420 złotych, czyli prawie całą kwotę uzyskiwaną z programu 500 plus.

Krytycy PiS-u coraz częściej zwracają więc uwagę na faktyczną

prywatyzację usług publicznych. Pieniądze przekazywane Polakom w formie wciąż skromnych transferów socjalnych czy podwyżek płac, w bardzo ograniczonym stopniu wpływają na faktyczny wzrost zamożności. Wymowny jest właśnie wspomniany przykład wydatków na korepetycje, który jest spowodowany zaniedbaniami w zakresie finansowania publicznych szkół. Tym samym rządzący nie kwestionują neoliberalnych dogmatów, lecz de facto kontynuują politykę Platformy Obywatelskiej polegającą na stałym redukowaniu liczby dostępnych usług publicznych.

Zagraniczny kapitał i polskie bieda-firmy

Jednym z najczęściej stawianych zarzutów pod adresem rządzących jest ten dotyczący ich polityki zagranicznej. PiS prowadzi oczywiście naiwną i szkodliwą politykę zagraniczną, ale trudno mówić o jakimkolwiek odstraszeniu zagranicznych inwestorów. W praktyce przez pięć lat nie udało się załatwić nawet sprawy niepłacenia podatków przez zagraniczne hipermarkety, choć co jakiś czas partia Jarosława Kaczyńskiego stara się mobilizować elektorat poprzez szumne zapowiedzi rozwiązania tego problemu. Niedawno okazało się z kolei, że liczba zagranicznych inwestycji w Polsce rośnie zamiast maleć. W ubiegłym roku w Polsce zarejestrowanych było więc 8820 przedsiębiorstw z udziałem obcego kapitału, a więc blisko dwukrotnie więcej niż w przedostatnim roku rządów PO i Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Jednocześnie jeśli chodzi o polskie firmy wciąż nie doczekaliśmy się nowych czempionów, którzy mogliby rywalizować na rynkach zagranicznych. Od lat są to wciąż te same państwowe i prywatne firmy. To oczywiście efekt fetyszyzowania małych i średnich przedsiębiorstw. Sektor MSP, tak rzekomo prześladowany przez Morawieckiego i spółkę, wciąż odpowiadał w 2017 roku za niecałe 32 proc. PKB. Jednocześnie stanowi on aż 98,9 proc. wszystkich funkcjonujących w Polsce

przedsiębiorstw. W tym kontekście trudno liczyć, aby polscy „janusze biznesu” mogli zapewnić dobrze płatne miejsca pracy, nie mówiąc już o konkurencji z dużymi zagranicznymi podmiotami.

Grzechów partii rządzącej jest o wiele więcej, a jak widać po jej dotychczasowych działaniach, pandemia koronawirusa stanie się dobrym uzasadnieniem dla dalszego utrwalania pozycji polskich pracowników jako taniej siły roboczej dla krajowych i zagranicznych przedsiębiorstw. Przez ostatnich pięć lat nie mieliśmy do czynienia z żadną gospodarczą rewolucją, stąd tegoroczne Święto Pracy nie jest dobrym czasem do świętowania nie tylko z powodu COVID-19.

Autorstwo: M.

Źródło: [Autonom.pl](https://autonom.pl)